

Połowanie na czarownice po polsku

29 czerwca 2023

Polacy nie gęsi i swój makkartyzm mają. Całkiem możliwe, że ustawa o rosyjskich wpływach okaże się ważniejszym krokiem na drodze demontażu demokracji niż większość wcześniejszych. Jest zupełnie oczywiste, że skonstruowano ją tak, by o promowanie rosyjskich wpływów móc oskarżyć każdego przeciwnika obecnej władzy. Spotęgowany wojną i cynicznie podkreśniany lęk przed Moskwą jest tu tylko poręcznym narzędziem mobilizacji poparcia dla pomysłu zagrażającego swobodzie wyrażania opinii, ale przede wszystkim wolności organizowania się i działania.

Na pierwszy ogień pewnie pójdzie Donald Tusk, ale w cieniu awantury, jaką wywołał atak na lidera PO, władza chętnie rozprawi się z organizacjami niosącymi pomoc uchodźcom na granicy białoruskiej. Od dawna przecież rządowa propaganda robi z nich marionetki Łukaszenki i Putina. Zbrojny w ustawę o rosyjskich wpływach rząd będzie mógł przejść do czynów i zacząć systematycznie karać za walkę o fundamentalne ludzkie prawa. O takim narzędziu senator McCarthy mógłby tylko pomarzyć.

Ale to nie wszystko. Chodzi także, a może przede wszystkim o to, że ta ustawa ma bardzo mocne podstawy w polskiej kulturze politycznej. Odzwierciedla bowiem pewien ponadpartyjny sposób myślenia, rodzaj konsensusu, który od dawna zatruwa nasze życie publiczne. Chodzi w największym skrócie o to, że obie główne strony politycznego sporu w naszym kraju oskarżają się o służenie obcym interesom. Nic nie wyraża tego lepiej niż widoczna gołym okiem ciągłość między słynnym gdańskim przemówieniem Tuska sprzed dwóch lat, gdzie były premier piętnował „ruski ład” fundowany nam rzekomo przez PiS, a dzisiejszym uchwaleniem Lex Tusk, które posłuży do oskarżenia go o to samo. Podobną ciągłość można zauważyć między dyskursem

Donalda Tuska o uchodźcach jako agentach wojny hybrydowej przeciw Europie w 2015 r., a narracją prawicy o zagrożeniu polskich granic i cywilizacji zachodniej obecnie. Delikatnie mówiąc, obie te opowieści mają niewielki związek z rzeczywistością. Problemem jest zatem nie to, kto naprawdę jest „ruskim agentem”, ale sama rola, jaką to oskarżenie odgrywa w polskiej polityce.

Wojna na Ukrainie stworzyła znakomite warunki dla ożywienia i wzmocnienia sięgającej XIX w. tradycji tłumaczenia sobie niewygodnych aspektów rzeczywistości czynnościami „innych szatanów”. Przy okazji zdemontowała wiele mechanizmów obronnych przed polityką polowania na obcych szpiegów, która płynnie i konsekwentnie zawsze przekształca się w polowanie na wewnętrzne czarownice. Można się było uśmiechać z gorliwości facebookowych rzeczników bojkotu Puszkina i zakazu słuchania Szostakowicza (którym skądinąd w głowach nigdy nie powstała myśl o bojkocie Amosa Oza, Orhana Pamuka czy filmów Marvela). Teraz jednak możemy zobaczyć rzeczywiste prześladowania wydawców rosyjskiej literatury – o ile tylko przydadzą się one władzy. Ale najważniejsze, że wreszcie można delegitymizować krytykę militarizmu, powszechnej inwigilacji, obsesji bezpieczeństwa narodowego, zachodnich wojen kolonialnych, a także przemocy policji i straży granicznej.

Dziś wszystkie te tyleż poważne, co oczywiste zagrożenia dla zdobyczy demokratycznych stały się gwarantem ocalenia cywilizacji zachodniej przed barbarzyństwem ze Wschodu. Tak w każdym razie zdaje się je widzieć większość polskiej klasy polityczna i mediów. Dopomaga im powrót myślenia w kategoriach zimnowojennych, które zawsze było wrogiem jakiegokolwiek myślenia i jakiegokolwiek polityki (poza państwową polityką bezpieczeństwa narodowego – rzecz jasna). Zgodnie z jego zasadami każdy, kto krytykuje USA za imperializm, albo Warszawę za barbarzyńską politykę na granicy wschodniej, jest agentem Putina, i odwrotnie – każdy, kto krytykuje Putina za represje i wojnę na Ukrainie, jest agentem Waszyngtonu.

Konkurencja na obrzucanie się oskarżeniami o bycie marionetką Moskwy jest jednak bardzo nierówna. Działa tylko na korzyść prawicy. Przypomnijmy sobie kampanię przeciw Ordo Iuris. Zredukowana do nagłaśniania związków z Moskwą (i tym samym spychająca na drugi plan kluczową kwestię zagrożenia dla praw kobiet) nie przeszkodziła temu, by pomysły tej organizacji stały się prawem w Polsce. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego dziadek z Wehrmachtu wyciągnięty przez PiS działa, a rozmaite „ruskie onuce” demaskowane przez byłych generałów odpytywanych na łamach Gazety Wyborczej już nie za bardzo? Otóż prawica jest na nie doskonale impregnowana. Posądzanie przeciwników o łożepolskość i reprezentowanie obcych interesów należy do jej kodu genetycznego, od dekad stanowiąc główną strategię budowania własnej tożsamości, walki politycznej i zapewniania sobie poparcia. Lewica przeciwnie, zawsze była diabolizowana jako siła obca – żydokomuna albo dajmy na to islamolewica – wywodząca swój rodowód z zamordystycznej Moskwy lub zdemoralizowanego Paryża.

Dlatego tak poważnym problemem są naiwne próby sięgania po to zatrute ostrze przez różnych postępowców. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że zauroczeni jego rzekomą skutecznością, sami od niego polegną. Zresztą już to się dzieje. Opieranie strategii politycznej opozycji na eksploatacji straszaka putinizacji i moskiewskich wpływów jest jedną z głupszych rzeczy zrobionych przez nią w ostatnich latach. Raz, bo PiS sięga do rodzimych tradycji autorytarnych reprezentowanych przez powszechnie hołubioną sanację z okresu międzywojennego. Dwa, bo w konkurencji na ściganie obcych agentów strona liberalno-postępowa nie ma szans z prawicą, tak jak podróbka nie ma szans z oryginałem. Jest w tym po prostu mniej wiarygodna. Co więcej, już sam wybór tej strategii i retoryki stanowi formę kapitulacji przed prawicową – ksenofobiczną, spiskową i antydemokratyczną wizją świata. Donald Tusk może sobie krzyczeć o „ruskim ładzie PiS”, ale o tym kto jest ruskim agentem, zdecyduje PiS.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: Monde-Diplomatique.pl